

JULIUSZ SYNOWIEC, CZYLI JAK UPRAWIAĆ TEOLOGIĘ

Wszedł jakoś w moje młode życie. Musiałem się z nim spotykać w Krakowie, gdzie dał mi Pan dwuletnią łaskę studiowania na pierwszym i drugim roku teologii (54/55 i 55/56), po filozofii robionej w Gnieźnie. Jednak tylko szczątkowo pamięć przywołuje tamtego Juliusza. W jej zakamarkach zachowało się wyraźniej jedno wspomnienie: W sytuacji ostrego konfliktu z o. profesorem Albertem Wojtczakiem (studenci byli przekonani, że ewidentnie niesprawiedliwie żądał od nich jakiegoś egzaminu) doszło do buntu, a na czele zbuntowanych jeszcze dzisiaj widzę Juliusza Synowca. Stać go było na zdawanie, ale chodziło o sprawiedliwość i poprawne traktowanie kleryków. Synowiec był nieugięty.

Lublin

Wyraźniej ścieżki nasze spotkały się na KUL-u. Ponieważ robiłem sobie notatki (coś w rodzaju kroniki), postanowiłem odszukać w nich wzmianki o bracie Juliuszu Synowcu i bez większego trudu zaproponować pomysłodawcom książki jubileuszowej udokumentowaną faktografię, która zjedna mi historyczną wdzięczność biografów naszego Jubilata. Aliści okazało się, że moja kronika rozpoczyna się datą 2 października 1964 roku, kiedy Juliusza już w Lublinie nie było. Pojawił się jedynie w pierwszym, wprowadzającym zapisie. Przytaczam go więc w całości. Chociaż niewiele mówi o naszym Bohaterze, odsłania lubelski kontekst z tamtego mniej więcej czasu; wiadomo, że dobra charakterystyka osoby wymaga uwzględnienia kontekstu jej życia i działalności.

2 XI 1964

Od dłuższego czasu nie daje mi spokoju myśl, że z naszej, to jest KUL-owskich studentów, winy ginie dla historii naszej prowincji znaczna jej część. Przecież wielu franciszkanów tutaj studiuje, ostatecznie nie najgłupszy całe lata tutaj pracują, a nikt nie pisze kroniki, nie odnotowuje ważnych i nieważnych zdarzeń, które niesie nam studencki los, a które tworzą znaczny fragment historii

naszej prowincji. *O. Damian Synowiec, który zdobył tu licencjat z historii Kościoła, rozpoczął pisanie kroniki z życia tutejszych franciszkańskich studentów z prowincji południowej (to jest św. Antoniego i bł. Jakuba Strepy). O. Damian odszedł, przyszli następni, myśl podjęli i ciągną kronikę dalej. W tym roku (1964/1965) pisze ją o. Paweł Latocha. Kilkakrotnie podnosiłem wobec o. Mariusza Paczóskego, który „przełożonuje” studenckiej braci z prowincji północnej (Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny), myśl o potrzebie pisania kroniki z naszego życia, ale bezskutecznie: dostrzega w tym dziele poważne trudności. Zabrałem się więc sam, chociaż z czasem u mnie nie za tego, gdyż egzamin doktorski zagraża i straszy.*

Stan liczbowy w dniu 2 XI 1964 roku:

1. *O. Augustyn Januszewicz, magister apologetyki, trzeci rok pracuje nad rozprawą doktorską;*

2. *O. Albert Szczęsiul, magister psychologii, po dwuletniej przerwie w studiach (praca duszpasterska w Koszalinie) wrócił w tym roku robić doktorat;*

3. *O. Fabian Piętka, absolwent filozofii teoretycznej, wkrótce będzie składał egzaminy magisterskie; aktualnie wyklada w Łagiewnikach logikę, metodologię i wstęp do filozofii;*

4. *O. Mariusz Paczóske, absolwent prawa kanonicznego, rozpoczął IV rok studiów; wkrótce będzie składał egzaminy magisterskie;*

5. *O. Paulin Sotowski, rozpoczął trzeci rok Pisma Świętego (Nowy Testament – u księdza docenta Feliksa Gryglewicza); w czerwcu czy w maju 1964 roku złożył egzamin ustny magisterski z 80 tez (ex universo); przygotowuje pracę licencjacką, by bronić jej przy końcu roku i otrzymać tytuł licencjata. Egzaminy ustne zdał na bardzo dobrze. Pisze pracę u Gryglewicza o zapisie Łukasza na temat Matki Pana, która zachowywała w sercu słowo Boże.*

6. *O. Robert Fortgang, z historii Kościoła; III rok. Przy końcu roku akademickiego 1963/64 złożył ustne egzaminy licencjackie; teraz przygotowuje pracę licencjacką o klasztorze naszym w Kaliszu;*

7. *O. Feliks Mechecki, I rok, filozofia teoretyczna;*

8. *O. Iwo Zieliński, I rok historii filozofii; jak mówią koledzy, wyjątkowo i wszechstronnie uzdolniony;*

9. *O. Manswet Wardyn, I rok filozofii przyrody;*

10. *O. Celestyn Napiórkowski, IV rok dogmatyki, właściwie już nie student; przygotowuje się do doktoratu; praca oddana recenzentom; od 1 IX 1964 roku asystent przy Katedrze Dogmatyki ze specjalizacją w mariologii (u o. prof. Ludwika Andrzeja Krupy, OFM).*

Dla ciekawych zestawię tutejszych studentów z prowincji południowej:

1. *O. Bruno Gancarz, doktorant na Nowym Testamencie;*

2. *O. Florentyn Kosowski, absolwent, przed magisterium z prawa kanonicznego;*

3. *O. Fabian Orzechowski, absolwent, przed magisterium z teologii moralnej;*

Juliusz Synowiec, czyli jak uprawiać teologię

4. *O. Paweł Latocha, 1 rok teologii pastoralnej;*

5. *Julian Bryk, historia; nie wiem, na który rok się dostał, gdyż przed wstąpieniem do nas ukończył 3 lata historii na Uniwersytecie Jagiellońskim.*

Tyłu mieszka w Lublinie.

Nadto jakoś zaliczają się do KUL-owców: o. Juliusz Synowiec, który przebywa w Krakowie, doktorant ze Starego Testamentu; o. Damian Synowiec, doktorant z historii Kościoła, przebywa w Krakowie; o. Albin Dudek, doktorant, apologetyka, przebywa w Krakowie; o. Symeon Barcik, historia Kościoła; o. Izidor Borkiewicz, doktorant, prawo kanoniczne, przebywa w Krakowie.

Z naszych (prowincja Niepokalanego Poczęcia) KUL-owców – o. Maksymilian Pado (doktorant, dogmatyka, specjalizacja - mariologia) przebywa w Niepokalanowie. Tyle znalazłem o Jubileacie w moich notatkach.

Bolesny, jak się okazuje, brak zapisków z wcześniejszych lat skazuje na produkowanie wypowiedzi w oparciu o głęboko przecież ranioną wiekiem pamięć. Odbiorcy zatem tych słów niech z wyrozumieniem i *benigne* traktują wszelkie nieścisłości faktograficzne.

Przyszedł na KUL bez święceń. Wiedzieliśmy, że Juliusz „ma problemy”..., że się z nimi mociuje.

Poszedł na Biblię – może m.in. dlatego, by rozwiązywać problemy. Wiadomo, że studiowanie Biblii jedne problemy rozwiązuje, inne odsłania. Z wielkim szacunkiem patrzyłem na Juliusza mocującego się z Biblią i swoimi problemami.

Było dwu Synowców – braci. Młodszy, Damian, blondynek, niewysoki, z inklinacją ku puszystości, był doktorantem u prof. Żywczyńskiego, u którego także studiował drugi historyk z prowincji krakowskiej, nomen omen, pochodzący z Żywiecczyny, Józef Symeon Barcik. Do dzisiaj „badacze dziejów” nie rozstrzygnęli, którego „Żywiec” – jak go studenci żartobliwie nazywali – bardziej cenili: Damiana Synowca czy Józefa Symeona Barcika, o którym nosła legenda, że jego góralska pamięć bez trudu mogłaby opanować księgę telefoniczną; poza wszelką dyskusją pozostaje fakt, że obu swoich franciszkańskich studentów „Żywiec” bardzo wysoko cenili i wyraźnie lubili. Damian chodził promienny, radosny, sympatycznie i nieco umoralniająco rozgadany. Drugi Synowiec, Juliusz, brunet, wysoki i szczupły, z reguły poważny i zamyślony, wyraźnie oszczędny w słowach, które ważył, odkrywający wciąż nowe pytania, mocujący się wewnętrznymi z problemami... Cenił autorytety, ale w miarę. Miał swoje, nierzadko odmienne zdanie i w dodatku miał odwagę je wypowiadać – uzasadniając. Pewnego razu nie wyszło mu to na dobre.

Wiosną 1961 roku przygotowywaliśmy się do egzaminów licencjackich. Ciężkie to były terminy, jako że wszyscy na teologii, nie wyłączając muzykologów, musieli zdawać mnóstwo tez z teologii fundamentalnej, dogmatycznej i moralnej. Najbiedniejsi byli muzykolodzy, których specjalizacja najwyraźniej odstawała od tematyki egzaminów licencjackich, a w dodatku Opatrzność ob-

darowała ich wyraźnie odmiennymi uzdolnieniami. Bibliści, chociaż z reguły należeli do najzdolniejszych, także mieli trudny orzech do zgryzienia. Pamiętam, że dość często przygotowywałem tezy razem z Juliuszem Synowcem. Zgarnialiśmy do torby papiery i ruszaliśmy w pola, między zboża, tam, gdzie wkrótce miała wystrzelić w górę nowa piękna dzielnica LSM, a gdzie wówczas kłosiła się pszenica i pachniały owocowe ogrody. Do Juliusza należały biblijne fragmenty tez, do mnie ściśle dogmatyczne, z resztą bywało różnie. Razu pewnego zabraliśmy się za tezę z darami Ducha Świętego. Oczywiście, tekst Izajasza, z pierwszego rozdziału, a więc także drugie „oczywiście” – zagajał Juliusz. Wykład był krótki. Dowiedziałem się, że Izajasz jedynie wymienia te dary, w dodatku nie wszystkie siedem, które wylicza się w podręcznikach teologii i katechizmach, a nadto, że Izajasz nie wyjaśnia, co która nazwa oznacza... Jeśli dzisiaj teologowie i kaznodzieje wiedzą – i to dokładnie a szeroko, co który dar znaczy, to nie od Izajasza wiedzą, ale z nadinterpretacji św. Tomasza oraz innych mądrych scholastyków. Wobec tego nie warto sobie głowy zaprzętać taką teologią. *Idziemy więc do następnej tezy* - zakończył zwięzłą introdukcję do tezy mój uczonec w Piśmie brat. Do dzisiaj nie wiem, jaki to duch sprawił, że nie przewidzieliśmy zgubnych konsekwencji takiego myślenia. Stał nasz Juliusz Synowiec przed wysoką komisją na egzaminie licencjackim. Nie filmowano sceny i nie było podsłuchu. To, co wycisnęło się w moich szarych komórkach, pochodzi źródłowo od naszego Bohatera=Ofiary, zapamiętane, nie zapisane, być może podlegające procesowi legendotwórczemu.

Ze strony wysokiego trybunału padło pytanie o dary Ducha Świętego. Start franciszkanina był wielkim błyskiem: Przywołał jedenasty rozdział Izajasza. Zacytował w języku hebrajskim, co na kolegium sędziowskim wyraźnie zrobiło wrażenie. Obiecujący młody teolog nie przystąpił jednak do komentowania. Nie cieszył urodziwym rozwijającym i komentującym słowem. Zachęcany, by wyjaśnić, co który dar oznacza, nie podjął tematu... Tłumaczył, że nie wiemy, co który dar oznacza, jako że hebrajski Izajasz nie wyjaśnia znaczenia poszczególnych wyliczonych darów; co gorsze, nawet nie wylicza wszystkich siedmiu darów, „zapomniało” mu się bowiem o darze pobożności; dar pobożności pojawił się dopiero w Septuagincie i Wulgacie, a więc w przekładach greckim i łacińskim. Jeśli św. Tomasz wie, co Izajasz miał na myśli, mówiąc o duchu mądrości i rozumu, rady i męstwa, wiedzy i bojaźni Jahwe...; jeśli teologowie ze św. Tomaszem na czele wiedzą, co Izajasz miał na myśli mówiąc, a raczej nie mówiąc o darze pobożności, to skąd oni wiedzą? Czy jest sens wkuwać ich po- czy wy-mysły?

Powiało grozą. Wielcy komisarze spoglądali po sobie zdumieni. Sługa boży, profesor Wincenty Granat, sławny dogmatyk, natychmiast uchwycił powagę problemu: oto raczkujący teolog, który – według wszelkiego prawdopodobieństwa – ma wkrótce podjąć nauczanie teologii, deprecjonuje nauczanie św. Tomasza, i nie tylko jego. Wyraża się o nim lekceważąco i retorycznie pyta, czy

warto uczyć się tego, co napisał... Kiedy podsądny wyszedł na korytarz, wysoka komisja musiała przedyskutować problem i odpowiedzialnie podjąć trudną decyzję. Czy kogoś z takim myśleniem można dopuszczać do teologicznej dydaktyki? Kto weźmie to na swoje sumienie? – Podjęcie decyzji okazało się tym trudniejsze, że Synowiec przy innych tezach wykazał się dużą erudycją. Gdyby Synowiec należał do trzeciego czy nawet drugiego rzutu studentów, gdyby z innych tez licencjackich odpowiadał na krawędzi bezpieczeństwa, wyrok skazujący nie byłby znowu tak trudny, ale Synowiec był dobry.

Ostateczny werdykt zbliżał się mądrością do rozstrzygnięć Salomona: „Puścimy tego franciszkanina, ale z ogólnym wynikiem tylko dostatecznym”. Należy zauważyć, że stopień „dostateczny” na ogół blokował drogę do doktoratu. Trzeba było podejmować specjalne starania o dyspensę od zbyt bladego licencjatu, by można było wspinać się wyżej. Nie „położono” więc Synowca, ale wyraźnie zabezpieczono na przyszłość młode pokolenia teologów, zwłaszcza franciszkańskich, przed ewentualnym jego zgubnym wpływem jako profesora teologii* .

* Od Redakcji: O. Juliusz, ze swej strony, przedstawił tę sprawę następująco: „Ustny egzamin magisterski zdałem w czerwcu roku 1961. Z mojej winy wypadł on lichy. Podczas odpowiedzi na pytanie ks. prof. Władysława Poplatka o siedem darów Ducha Świętego zachowałem się bowiem całkiem nieroztropnie. Wymieniłem te dary po polsku i chyba także po łacinie i hebrajsku. Zaznaczyłem, że w tekście hebrajskim prorocstwa Izajasza o Mesjaszu (Iz 11, 1-9) jest ich właściwie sześć nie siedem. Wyjaśniłem, że siódmy pojawił się za sprawą Septuaginty, która hebrajskie wyrażenie „duch bojaźni Jahwe” raz przetłumaczyła słowem „pobożność”, a drugi raz: „duch bojaźni Boga”. Dodałem ponadto, że bibliści dary te rozumieją inaczej niż św. Tomasz z Akwinu, i ośmieliłem się stwierdzić, że ten wielki teolog zinterpretował je apriorystycznie, nie zawsze licząc się z treściami, jakie ich nazwy mają w języku oryginalnym. Wzbudziło to wielkie oburzenie ks. Poplatka. Domagał się, bym mu dokładnie przedstawił, jak te dary rozumiał Akwinata. Nie potrafiłem tego zrobić tak, jak należało, bo po prostu nie przyłożyłem się zbytnio, by to szczegółowo zapamiętać. W ostateczności postawiono mi za ten egzamin ocenę zaledwie dostateczną.

Dobrze, że go nie oblałem, gdyż ks. Poplatek słyszał z „koszenia” księży zdających magisteria. Przypuszczam, że uratowała mnie przeciętna zapisanych w moim indeksie ocen za 32 egzaminy zdane na KUL-u, która wynosiła 4,78. Gdyby nie ta młodzieńcza nierozwaga, prawdopodobnie otrzymałbym wówczas czwórkę. Na piątkę na pewno nie byłem przygotowany, gdyż za późno zabrałem się do opanowywania 115 tez, których znajomość nas obowiązywała.

Wnet potem poszedłem do ks. prof. dr. hab. Stanisława Łacha, który był promotorem mojej pracy magisterskiej, by się z nim pożegnać i podziękować mu za wszelkie wartości, które zdobyłem dzięki niemu jako mojemu profesorowi. Biorąc pod uwagę nieszczęsny wynik egzaminu magisterskiego, wyznałem mu, że mam zamiar wycofać się z dalszych studiów. Ks. Łach spośród swoich studentów najbardziej cenił ks. Witolda Tylocha. Ale i o mnie miał dobre zdanie, chociaż czasem przypisywał mi, raczej niesłusznie, poglądy zbyt daleko idące. Uznał, że powinienem pisać pracę doktorską i dał mi jej temat: *Kebed Jahweh w Starym Testamencie*. Z różnych powodów, ode mnie niezależnych, ukończyłem ją i obroniłem dopiero 2 marca 1967. Podania o dopuszczenie do doktoratu nikt ode mnie nie żądał”.

A jednak Synowiec został profesorem. Można zasadnic domniemywać, że stało się to nie bez przyzwolenia czy nawet werdyktu prowadzącej dzieje Opatrzności. Synowiec inwestuje siebie w Biblię. Oddaje życie czytaniu i rozumieniu Słowa Bożego. Sporo się nauczył i stara się dzielić odkrytym światłem. Jego nazwisko coraz częściej i coraz mocniej kojarzy się z hermeneutyką biblijną. To naturalne: Kiedy już się na zachód słoneczko skłania, doświadczony profesor dokonuje refleksji nad ścieżkami, którymi chadza jego (nie tylko) poszukująca myśl. Dostrzega błędy, przekonuje się co do słuszności lub zawodności niektórych reguł. Juliusz mocuje się z hermeneutyką biblijną, za co winniśmy mu wdzięczność.

Rzym i Kraków

Odejście Juliusza z Lublina znaczyło rozejście się naszych dróg. Sporadyczne i rzadkie spotkania nigdy, o ile pamiętam, nie rodziły ani konfliktów, ani dialogu bratnich dusz. W Rzymie studiował, oczywiście, Księgę Ksiąg. W Krakowie wessała go dydaktyka, wessała i nie puszcza. Studenci podkreślają, że na wykłady przychodzi zawsze przygotowany. Jego dydaktyka płynie równoległe do studium. Nie palił się i nie pali do publikowania. Zawsze krytyczny, również a może przede wszystkim w stosunku do siebie, długo ogląda, co napisał, długo marudzi i poprawia, zanim innym pozwoli przeczytać. Kiedyś, odważę się na słowo, przed którym dzisiaj osłania Jubilata parasol jego świętowania. Powiem mu brutalnie, rzucę w twarz, że odpowiada za niepowiększenie chwały Bożej habilitacją.

Brak bliższej współpracy między nami można interpretować symbolicznie: otóż **brakuje współpracy między biblistami a dogmatykami** lub szerzej – **między biblistami a pracownikami z innych dziedzin teologii**. Trzeba stwierdzić brak współpracy interdyscyplinarnej teologów polskich. Z inicjatywy arcybiskupa Karola Wojtyły powstały w tym kraju sekcje teologów polskich według ich specjalizacji. Zacieśniło to i pogłębiło współpracę polskich teologów – „kolegów po fachu”. Zbierają się co roku, dzielą się swoimi osiągnięciami, wymieniają informacje, zaprzyjaźniają się ze sobą, poznają młode gwiazdki, zapalające się na ich niebie...; niekiedy wspólnie coś tworzą (...).

Żeby jednak dwie czy trzy sekcje wspólnie coś tworzyły, żeby się wzajemnie douczali... – jeśli się to zdarza, to rzadko. Jak daleko sięgam pamięcią, a sięgam do początków, nie pamiętam, by Sekcja Biblistów wicowała kiedykolwiek wspólnie z Sekcją Dogmatyków. My Słowianie, a jeszcze wyraźniej my, Polacy, postrzegani jesteśmy jako indywidualiści („Gdzie dwóch Polaków, tam trzy partie”). Brak interdyscyplinarnej współpracy między nami, teologami, jest faktem. W takim sensie polubelskie relacje Juliusza z Celestynem można przytaczać jako klarowny symbol defektu teologii polskiej. Krążą po różnych

orbitach. Nie wykazują przy tym skutecznej woli, aby zajrzeć na orbitę drugiego. Świadcze o przykrej prawdzie przynajmniej w stosunku do siebie. Otóż nie przeczytałem ani jednej książki Juliusza, mimo że bardzo go cenię również jako biblistę. Nigdy nie ma czasu, wciąż są bliższe i bardziej bezpośrednie konieczności. Gdyby Juliusz także nie przeczytał żadnej mojej książki, byłoby mi lżej, ale symbol nie przestałby niepokoić, a nawet oskarżać; wprost przeciwnie.

Mocuję się z analogicznymi do Juliuszowych problemami na szerszej płaszczyźnie teologicznej. Pytanie „Jak uprawiać teologię?” chodzi za mną bez końca. Dziś, stary belfer, który „życie stracił” (w pozytywnym znaczeniu ewangelicznym) na rzecz teologii, stwierdza, że nie bardzo wie, jak ją uprawiać należy. Pośród wielu pytań otwartych, które prowokują poważną interdyscyplinarną dyskusję, święto Biblisty w sposób szczególny promuje pytanie o języki biblijne w Wyższych Seminariach Duchownych i na Wydziałach Teologicznych.

Chciałoby się czytać Biblię w językach oryginalnych. W odniesieniu do profesorów teologii postulat taki należy do oczywistych. Dwaj moi magistry teologii wyjechali na studia doktoranckie na uczelnie niemieckie. Okazało się, że tam studenci teologii (wcale nie bibliści) pracują na greckim tekście Nowego Testamentu. Mały wymiar godzin greki na kursie zwyczajnym Wydziału Teologii KUL nie dał odpowiedniego przygotowania. Jeden nasz student zacisnął zęby, znalazł korepetytorkę, opłacił jakieś specjalne kursy i nadrobił grekę. Drugi przeniósł się na inny uniwersytet, gdzie nie żądano takiej znajomości greki.

Miałem sporo greki w Gnieźnie na dwuletnich studiach filozofii. Zaopatrzyłem się w słownik i niekiedy zaglądam do greckiego Nowego Testamentu. Daje to więcej satysfakcji i dobrego samopoczucia niż naukowo twórczego pożytku. Dopiero komentarze fachowców pozwalają mi dostrzec niuanse znaczące dla moich poszukiwań. Czy więc warto było aż tyle inwestować w grekę? Kiedykolwiek pojawia się poważniejszy problem, i tak muszę zaprosić się na kawę do kolegi-biblisty.

Hebrajki uczono mnie w Krakowie. Bardzo chciałem się jej nauczyć – możliwie najwięcej. Niestety, nauczanie tego przedmiotu było żałosne. Po krakowskiej hebrajce, ja, uniwersytecki profesor teologii nie umiem przesylabizować hebrajskiego tekstu, zapomniałem liter alfabetu. Oczywiście, część studentów kombinuje, jak uciec przed hebrajką i greką, ale część serio pragnie się ich nauczyć. Nie mogę uwolnić się od żalu w stosunku do mojego profesora hebrajki. Jeśli moi koledzy profesorowie mieli więcej szczęścia do lektoratu hebrajskiego, to raczej jest ich niewielu, a nawet ci najszczęśliwsi pod tym względem znają hebrajski jak leśniczy puszcze litewskie (by użyć słów Mickiewicza): „zna je tylko po wierzchu, ich postać, ich lice...” Szansa docierania do właściwego sensu hebrajskich tekstów Biblii pozostaje dla nich również w kawie u kolegi „starotestamentowca”. Nie mam jednak odwagi postulować promocji hebrajki i greki (oczywiście także łaciny) w programach wyższych seminariów duchow-

nych. Mocniejszy akcent na języki biblijne przeniósłbym na pierwsze lata uniwersyteckich studiów teologicznych, zwłaszcza na teologii systematycznej (specjalizacja biblijna pozostaje poza dyskusją).

Zawsze pozostają do konsultacji komentarze, których w Polsce, dzięki Bogu, przybywa. Systematyzując w metodologicznym podręczniku źródła teologii naliczyłem ich 16, dzieląc na dwie wielkie grupy: natchnione i nie natchnione. W grupie „natchnione” znalazło się jedno tylko źródło, oczywiście Pismo Święte. W drugiej grupie znalazła się cała piętnastka reszty źródeł: symbole wiary, liturgia, wiara ludu Bożego (*sensus fidei*), nauczanie soborów, nauczanie papieża *ex cathedra* i nauczanie Kościoła rozproszonego po świecie (biskupów i synodów), nauczanie ojców i pisarzy Kościoła, zwyczajne nauczanie papieża, historię Kościoła, prawo kościelne, sztukę sakralną, nauczanie teologów, literaturę piękną, znaki czasu, człowieka, wiarę oraz doświadczenie osób i wspólnot chrześcijańskich. Teoretycznie nie trudno było autorowi podręcznika systematykowi przyznać zdecydowany priorytet Biblii, w praktyce jednak ma z tym poważne kłopoty. Przeżyłem życie pracując w teologii systematycznej i ekumenicznej i mogę wyznać, że moje odnoszenie się do Pisma Świętego było specyficzne. Z braku własnych studiów biblijnych oraz z braku znajomości biblijnych języków odnosiłem się do Pisma Świętego raczej pośrednio, poprzez monografie, studia, opracowania tematyczne, poprzez dokumenty nauczycielskiego urzędu Kościoła. Musiała towarzyszyć takiej drodze świadomość własnej małości i bezradności.

Trudne to problemy. Pociągniemy je z okazji następnego jubileuszu.